

HUMANIŚCI. WIECZÓR WSPOMNIENÍ O PROF. PROF. ELŻBIECIE FELIKSIĄK, HALINIE KRUKOWSKIEJ, BOGUSŁAWIE NOWOWIEJSKIM

Prowadzą: Dominik Sołowiej i Violetta Wejs-Milewska

1

Beata Zadykowicz [B.Z.] – Witam Państwa, dzisiejsze popołudnie jest szczególne, muszę powiedzieć, że pod koniec dnia usiadłam w Książnicy, pomyślałam sobie, ile lat temu kończyłam studia, policzyłam to, równo 30. Myślę sobie: nadszedł czas podsumowań. Cudowne popołudnie! Razem ze mną rok kończyli Jarek Ławski, Ania Janicka. Nasze drogi na korytarzach uczelni bardzo często się krzyżowały. Muszę powiedzieć, że były to chyba najlepsze lata naszego życia; Jarek jest uśmiechnięty i mówi, że tak. Mieliśmy cudownych Profesorów, tych, których będziemy dzisiaj wspominać, o których będziemy mówić. Cieszę się, że mówię z perspektywy studenta. Najpierw troszeczkę ich się baliśmy, ale później okazało się, że każde słowo zamienione z nimi, każde słowo, które od nich słyszeliśmy, w jakiś sposób wpływało na nasze życie. Były to takie przekazy, które w nas zostawały, to, co usłyszeliśmy od nich, to, jak rozmawiali z nami, o czym rozmawiali, wpłynęło w zasadzie na całe nasze przyszłe życie i to nie tylko zawodowe, ale również na ukształtowanie nas jako humanistów. Myślę, że ten dzisiejszy dzień jest naprawdę szczególny i te 30 lat od końca studiów minęło w zasadzie jak jeden dzień.

Prof. Wejs-Milewska [V.W.-M.] – Serdecznie witam wszystkich Państwa po południu, witam tych, którzy przyszli na nasze spotkanie popołudniowe, a także tych, którzy są z nami już od rana. Myślę, że przedpołudnie było i ciekawe, i wzruszające. Mam poczucie, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty w upamiętnieniu naszych mistrzów. Praca była zespołowa i dziękuję wszystkim Państwu, zwłaszcza dziekanowi Ławskiemu, który najpierw podjął tę inicjatywę i stwierdził, że

musimy upamiętnić pionierów białostockiej Polonistyki, a potem nas do tej inicjatywy przekonał. Popołudniowe spotkanie będzie miało inny, mniej oficjalny charakter, będziemy bowiem snuć opowieści, a nie wygłaszać referaty. Będziemy wspominać, będziemy też posługiwać się anegdotą, bo nawet dzisiaj rano, kiedy wygłaszaliśmy z powagą referaty, nie mogliśmy uniknąć narzucających się mimo woli wspomnień czy też anegdot. Dyscyplina wykładu okazała się bardzo trudna.

A teraz, by zachować pewien porządek naszych wspomnień, proponuję rozpocząć rozmowę o profesor Feliksiak, potem o profesor Krukowskiej i jako ostatniego – będziemy wspominać profesora Bogusława Nowowiejskiego. Dodam tylko, że naszym rozmowom będzie towarzyszył instrumentalista – pan Jan Kukliński, który wykona kompozycje muzyczne oddzielające poszczególne sekwencje naszego spotkania. Nie wiem, czy Państwo się zorientowali, ale za nami wyeksponowane zostały piękne fotografie utrwalające życie naszego Wydziału na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Dziękuję za to Pani Dyrektor, bo pomysł tym bardziej wzruszający, że na Wydziale taka panoramiczna i zarazem multimedialna ekspozycja nie powstała.

Zacniemy nasze spotkanie od „autentycznych” głosów zapisanych na taśmach magnetofonowych i cyfrowych, czyli od nagrań. Udało się odszukać w archiwum białostockiego radia trzy nagrania programów poświęconych profesorom lub powstałych z ich udziałem, ja także przygotowałam na dzisiejsze popołudnie cztery kasety, na których utrwalaony jest głos Elżbiety Feliksiak. Z pewnością Ewa [Rogalewska] będzie dobrze wiedziała, jakie są to nagrania i w jakich okolicznościach one powstały, a powstały – dodam – w 1989 roku w Kamieniu Pomorskim, choć nie tylko. Na taśmach zarejestrowany jest bardzo młody głos Elżbiety Feliksiak, która miała wówczas 50 lat i była tuż przed habilitacją. Na nagraniach słyszymy, jak ona delikatnie i zarazem skrupulatnie wypytywała repatriowane z Wileńszczyzny kobiety o ich wojenne i powojenne losy, jak była wówczas skupiona i wyciszona. Po prostu była to inna Elżbieta niż ta, z którą my – jej uczniowie – na co dzień obcowaliśmy.

Muszę dla porządku dodać, że mając nagrania 20-minutowe, na których wysłuchanie nie mamy tak wiele czasu, będziemy zatem zmuszeni w którymś momencie przerwać, by rozpocząć rozmowę. Ważne jednak, by zachować atmosferę i jednocześnie mieć poczucie, że nasi mentorzy, oponenci, współpracownicy i przyjaciele w osobach Elżbiety, Haliny i Bogdana – duchy białostockiej Polonistyki, są wśród nas. Niech mikrofon krąży z rąk do rąk... Oddajemy Państwu głos.

DOMINIK SOŁOWIEJ [D.S.] – Dziękuję, dzięki uprzejmości Radia Białystok wyemitujemy dwie audycje, a w zasadzie fragmenty audycji *Twarze romantyzmu*, bohaterką tej audycji jest Profesor Halina Krukowska, oraz audycję o charakterystycznym tytule *Fela*, to też audycja z Radia

Białystok, a trzecie nagranie to moja rozmowa z Profesorem Nowowiejskim, przygotowana do książki poświęconej białostockiemu środowisku filologicznemu, w której to Pan Profesor wyjaśnia, co robił, kiedy był żołnierzem, i co musiał robić, żeby nie być w strukturze wojskowej. Na początku oddajmy głos Profesor Feliksiak.

[NAGRANIE: *FELA*, audycja o Profesor Elżbiecie Feliksiak]¹

[V.W.-M.] – Mam propozycję, żebyśmy zaczęli rozmawiać, bo audycja jest 20-minutowa, ale mam nadzieję, że nie zostało powiedziane wszystko, co mamy do powiedzenia o Elżbiecie Feliksiak. Zdaje się, jesteśmy tym najstarszym gronem, co z przykrością stwierdzam, które pamięta Elżbietę Feliksiak. Ale może ktoś młodszy, kto ma dobrą pamięć i zechciałby się podzielić wspomnieniem, a my się dołączymy. Bardzo proszę, pan profesor Krzysztof Korotkich.

Krzysztof Korotkich [K.K.] – Pozwalam sobie zabrać głos, aby się pochwalić, że byłem inicjatorem tej audycji. Przygotowaliśmy ją wspólnie z Agnieszką Czarkowską. Mówię to nie tylko dlatego, żeby się pochwalić, tylko zdradzę Państwu kulisy tego jednego wątku dotyczącego właśnie Profesor Krukowskiej. To nie było takie łatwe, żeby radio przyjechało do Wasilkowa i żeby każdy mógł nagrywać. Długo musiałem przekonywać Panią Profesor, żeby zgodziła się na rozmowę z Agnieszką Czarkowską, bo to ona miała mikrofon służbowy, a ja nie. Wtedy było tak, wchodzimy i mówimy: „Profesor Feliksiak nie żyje, trzeba ją upamiętnić”. Profesor Krukowska mówi: „To co, mam coś miłego powiedzieć?” I to był problem. Proszę Państwa, to były wielkie przyjaciółki przecież, znały się przez całe życie i tutaj słyszymy sformułowanie: „Dzwonię do Pani Profesor Feliksiak...”. To nie jest zdanie, które przez przypadek pada. Ona się lekko usztywniła. Ale to była też rozmowa, którą rozpoczęła. Miało być o Profesor Feliksiak, a mówię o Profesor Krukowskiej. Ale jeszcze jeden wątek. Agnieszka Czarkowska, której tutaj nie ma, siada przy okrągłym stole i mówi: „A ja byłam Pani studentką”. A Profesor Krukowska od razu: „Co ja Pani z egzaminu postawiłam?”

[V.W.-M.] – To było bardzo ważne. Krzysztofie przy okazji, skoro jesteś przy głosie, pamiętasz, czy tam jest zarejestrowany głos Elżbiety? Jest w finale audycji. Bo ja tej audycji szczerze mówiąc nie pamiętam.

¹ *Fela*, audycja dokumentalna Agnieszki Czarkowskiej, Polskie Radio Białystok, 23 stycznia 2015 r.

[K.K.] – To był problem. Ona nie udzielała wywiadów...

I w archiwach radiowych nie było głosu. Ja nie pamiętam, czy w finale głos jest, ponieważ z Agnieszką Czarkowską znaleźliśmy takie bardzo wesołe nagranie, w którym w swoim tylko sobie charakterystycznym stylu Profesor Feliksiak coś powiedziała z wesołym zaśpiewem: „hahaha” na końcu i myśmy nie wiedzieli, czy zamknąć to tym takim „hahaha”, czy nie. Chyba jest to „hahaha” na końcu audycji. Ale o wiele trudniej było zachęcić Profesor Krukowską do audycji, bo powiedziała, że absolutnie odmawia i tylko podstępny tutaj działał.

[V.W.-M.] – Może niech ten mikrofon wędruje w drugim rzędzie, zapewne niektórzy z Państwa rozochocą się i zechcą zabrać głos. Wczoraj długo przesłuchiwałam nagrania utrwalone na kasetach i miałam pewien problem z umieszczeniem ich w konkretnym roku, wiem tylko, że są to nagrania z lat 1989–1990, nie wiem jednak, z jakiego wyjazdu Feliksiak jest audialny dokument, który chcę Państwu zaprezentować. Ewo, może Ty będziesz pamiętała? Czy to był obóz dialektologiczny, czy kulturoznawczy, w którym – to pewne – uczestniczyła Małgosia Gawrychowska-Sowul oraz Ela Konończuk, wówczas będące młodymi asystentkami? Czy i Ty byłaś na którymś z tych obozów? Rozumiem, że nie. One pojechały na Pomorze Zachodnie i tam przeprowadzały wywiady między innymi z przesiedlonymi w akcji „Wisła” Ukraińcami. Elżbieta zainteresowana była wówczas badaniem kontekstów i napięć kulturowych, przebiegiem procesów psychospołecznych zachodzących na pograniczach etnicznych i Kresach II RP. Mamy tu zatem do czynienia z dokumentacją doświadczenia – czyli zapisem ludzkiego losu i indywidualnych przeżyć. Posłuchajmy.

[D.S.] – Może na razie jednak porozmawiamy, a ja będę starał się rozwiązać problem techniczny.

[V.W.-M.] – Elżbieta po prostu nie chce „zabrać głosu”...

Grażyna Złocka-Korzeniewska [G.Z.-K] – Proszę Państwa, jeżeli myślę o Eli Feliksiak, to potrójnie jestem jej wdzięczna. Pierwsza sprawa za to, że obdarowała mnie przyjaźnią. I mogłam tego doświadczyć wiele, wiele razy. Była dość trudna, jak już padły słowa. Ale była osobą bardzo samotną i z tego powodu cierpiała. I to, że może nie mówiła o tej samotności, ale tak było. Bardzo często sama dzwoniła do mnie o różnych porach: i wtedy kiedy pracowałam, i do domu wieczorem, żeby porozmawiać o sprawach normalnych, zwykłych, babskich. Nie naukowych,

bo wtedy nie byłabym żadnym partnerem w takiej dyskusji. Bo tak mówiła, że połowę rozumiałaś. Kilka razy mówiłam jej, że to, co mówisz uczniom, to oni udają, że rozumieją. Ja nie udaję. Jak połowę rozumiem, to jestem bardzo dumna z tego. Ale mówię o jej samotności. Pamiętacie, robiliśmy spotkania z okazji Świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Ona z Warszawy potrafiła różne rzeczy przywozić. Każda z nas przynosiła jakieś jadła. W tym malutkim pokoiku ustawialiśmy. Była wtedy taka szczęśliwa. To jest jedna rzecz. A druga to, że Elżbieta często wspominała swoją ciotkę Martę Skorko-Barańską. Byłam jej wdzięczna, że całą sumę pieniędzy, którą otrzymała w testamencie po tej ciotce, przekazała do mojej szkoły. Mówi: „Słuchaj, mi pieniądze niepotrzebne, a Tobie może się przydadzą. Zróbmy nagrodę imienia Marty Skorko-Barańskiej. Otrzyma ją uczeń, który szczególnie jest zainteresowany fizyką, albo ten, który niesie światło, który jest dobry dla drugiego człowieka”. Przez wiele lat można było dawać po 500 zł takim uczniom. To była nagroda im. Marty Skorko-Barańskiej. Do dzisiaj mam ogromną teczkę zapisków Elżbiety o tej ciotce, zdjęcia, pamiętki. I sprawa trzecia, taka najsmutniejsza z czasów, kiedy ześmy się bardzo zbliżyły, pisząc wspólnie książkę *Wyprzedzili nas w drodze*. Książkę po tragicznym wypadku naszych uczniów, którzy zginęli pod Jeżewem. Wieczorami z Elżbietą i nieżyjącą już Danusią Taraszkiewicz pochylałyśmy się nad zdjęciami uczniów, nad wspomnieniami. I tak w tej serii żółtych książek powstała jeszcze jedna: *Wyprzedzili nas w drodze*².

[V.W.-M.] – Nie wiem czy wiesz, że Marek Olesiewicz nie żyje, a należał do najściślejszego grona edytorów naszych wydawnictw. Był z nas wszystkich najmłodszy.

Widzę, że jest z nami Pani profesor Dacewicz. Loni, zechcesz podzielić się z nami wspomnieniem?

Leonarda Dacewicz [L.D.] – Szanowni Państwo, powiem krótko. W odróżnieniu od padających tu głosów, że Pani Profesor miała trudny charakter, mam zdanie odmienne. Podczas mojej kadencji dziekana, nie wiem, czy pierwszej, czy drugiej, Pani Prof. Feliksiak została dyrektorem Instytutu.

[V.W.-M.] – Dobrze pamiętam.

² *Wyprzedzili nas w drodze. Pamięci białostockich maturzystów, ofiar katastrofy pod Jeżewem 30 IX 2005. Praca zbiorowa*, red. E. Feliksiak, M. Olesiewicz, D. Taraszkiewicz, G. Złocka-Korzeniewska, Białystok 2006.

[L.D.] – Ja też i to w najlepszych barwach. Zostałam, już po wyborach, delikatnie przez koleżanki uprzedzona: „O, teraz to będziesz się miała”. Ale ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu Pani Profesor bardzo często mnie odwiedzała w gabinecie dziekańskim, prosiła o wszelkie rady. Była niesamowicie miła, uprzejma, wręcz może za mocno powiedziane – potulna, ale to w kontekście tego wszystkiego, co usłyszałam, że „da mi popalić”. Bardzo to miłe wspomnienie. I tak widzę oczami wyobraźni, jak siedzi w niewielkim gabinecie, tam, gdzie teraz są prodziekani. Zawsze nasze rozmowy były miłe, rzeczowe, ale nie tylko o sprawach służbowych. Moje wspomnienie jest przecudne.

[D.S.] – Dziękujemy.

[V.W.-M.] – Dziękujemy.

[D.S.] – Mam mnóstwo ciepłych wspomnień. Drodzy Państwo, wyobraźcie sobie sytuację, kiedy student I roku, jeśli się nie mylę, przychodzi na wykład do Pani Profesor Feliksiak. Jak Państwo doskonale pamiętacie, a mieliście podobne wrażenie, człowiek wychodził z wykładu i wiedział, że kompletnie nic nie zrozumiał. Ale miałem już wtedy świadomość tego, że myśmy byli na spotkaniu z osobą wyjątkową. Bo to jest tak, że każde jej słowo, mówiąc kolokwialnie, otwierało pewne furtki, klapki w głowie. Myśmy wiedzieli, po jaką literaturę warto sięgnąć, czy nawet literaturę amerykańską, niemiecką, czy francuską. Już wtedy wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z wyjątkową osobą. Wyobraźcie sobie Państwo naszą wielką satysfakcję, kiedy jako studenci IV roku, już w trakcie pisania pracy magisterskiej chodziliśmy do Pani Profesor Feliksiak na konserwatorium poświęcone analizie i interpretacji tekstu literackiego. To był czwartek, chyba od 15 do 18, siedzieliśmy 3 godziny. Mieliśmy z Panią Profesor taki układ, że co dwa tygodnie Pani Profesor parzyła herbatę, a my przynosiliśmy ciasto albo ciasteczka. Za następne dwa tygodnie myśmy parzyli herbatę, a Pani Profesor przynosiła ciasteczka.

[V.W.-M.] – Starła się być bardzo uprzejma i ponad miarę towarzyska.

[D.S.] – I tak żeśmy sobie siedzieli, konwersowali, pili herbatę, kawę, jedli ciasto. Dla nas to była niesamowita chwila, bo wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z osobą nietuzinkową, bardzo dla nas ważną. Jednocześnie siedzieliśmy przy wspólnym stole. Sam ten moment, kiedy wynosiła ciasto z drugiego pokoju i mówiła: „Oto ciasto, które przyniosłam, nie wiem, czy pan doktor Leś już je jadł, czy nie, ale jak coś, nic nie mówcie, że je przyniosłam. Więc je tu Wam przynoszę”. Pan profesor Leś też rezydentował w drugim pokoju. Satysfakcja studentów była niesamowita.

[V.W.-M.] – Ona zresztą bardzo lubiła studentów. Potem z biegiem lat było ich wokół niej znacznie mniej. Mniejsze też były grupy. Nie wiem, czy Państwo pamiętają, zwracam się przede wszystkim do kolegów i koleżanek pracujących na Wydziale tak jak ja długo, jak wielu mieliśmy studentów? Kiedyś prowadziłam zajęcia z Teorii Literatury na roku podzielonym na 5 grup, liczących po 25 studentów. Przy zajęciach z piątą grupą nie mogłam uniknąć nudy powtarzanych treści, dzisiaj mamy zgoła inny problem: ciągle musimy borykać się z nowymi treściami i problemami. Dawniej wykładowca doskonalił swój warsztat dydaktyczny na powtarzających się tematycznie ćwiczeniach, dokładnie znał już wszystkie pytania i możliwe odpowiedzi, niejako – mówiąc ironicznie – po latach takich kursów odpowiedział sobie wielokrotnie na wielokrotnie też zadane te same pytania... To było dobre ćwiczenie, dzięki któremu zrozumiałam wiele problemów z dziedziny historii literatury, antropologii i znacznie łatwiej było mi je wyłożyć.

Ale Elżbieta lubiła studentów i ona głównie ceniła takie spotkania, gdzie można było rozmawiać, wymieniać się opiniami. Czasem to nie były dialogi, tylko z jej strony długie monologi (mimo że nie lubiła prowadzić wykładów), ale głównie ożywiała się prowadząc konwersatorium. Cieszyło ją bardzo, że ma seminarzystów, choć prawda była taka, że jedni studenci zmykali przed nią „na koniec świata”, wiedząc, że nie będą w stanie sprostać jej wymaganiom, a z kolei tych, którzy zdecydowali się na tę ryzykowną współpracę, brać studencka traktowała jako dziwaków, jakichś „oryginałów”. I takich oryginałów w latach 90. było sporo. Wielu jej seminarzystów ukończyło studia i rozjechało się po świecie. Elżbietę jako dydaktyka charakteryzowała ważna cecha: pozwalała studentowi powiedzieć wszystko, co mu ślina przyniosła na język, właściwie była w stanie również znieść największą głupotę, więcej – z dobrodziejstwem inwentarza przyjmowała każdą opinię, po czym poddawała ją szczegółowej analizie, starając się przy tym nie uронić choćby odrobiny zawartego w niej sensu. I wszyscy członkowie grupy seminaryjnej byli szczęśliwi: student myślał, że powiedział coś mądrego, a ona z kolei, że nie tylko wzbogaciła go intelektualnie, ale że go wewnętrznym przemieniła.

Problemy w kontaktach z nami zaczynały się, kiedy Elżbieta pochylała się nad lekturą naszych asystenckich tekstów. Zbyt krytyczna lektura naszych własnych utworów jest doświadczeniem bolesnym, ale profesor niespecjalnie o to dbała, obchodziła się z nimi bezwzględnie i to niezależnie od tego, czy autorem był profesor tytularny, czy magister. W każdym artykule przeznaczonym do druku jako jego redaktor układała na nowo składnię, niemiłosiernie siekąc zdania i przekształcając wpisane sensy. Pamiętam Jarku, że kiedyś Twój tekst o Micińskim próbowała skracać – bez powodzenia. W którymś momencie powiedziała do mnie: słuchaj, nie dam rady, te wszystkie zdania z rozlicznymi dygresjami mają sens, mimo że są za długie. Bywało, że ja pytałam: Elżbieto czytałaś mój tekst, przeznaczony do publika-

cji? Ona na to: – Tak, wiesz, bardzo dobry. Po chwili: – Ale poczekaj, poczekaj, bo trochę nie pamiętam, czy dokończyłam lekturę. No i zaczynało się. W mojej obecności zaczynała jego rozbiór logiczny i gramatyczny, co finalnie kończyło się konstatacją, że tekst jest absolutnie bez sensu. Kiedy pisałam doktorat, wiedziałam, że muszę go sama od początku do końca napisać, ponieważ jeśli będę pisała we fragmentach, które Elżbieta będzie oceniała, nigdy tej roboty nie skończę. Napisałam doktorat o Straszewiczu, oddałam jej niemal całość do akceptacji. I jak wyglądała korekta mojej promotor? Ciekawie. To były takie korektorskie „fale”. Gdy „przyłożyła się” do lektury, sypały się wióry, na marginesach odnotowywała mnóstwo poprawek, a przy innych partiach – nie było żadnych adnotacji, co znaczyło, że ominęła całe strony... To moje osobiste, korektorskie doświadczenie sprawiło, że postanowiłam sobie pracować inaczej: systematycznie. Kiedy Elżbieta irytowała się i dawała temu wyraz, myślałam: nie, nie, ja się nie mogę tak złościć, muszę bardziej powściągnąć swoje emocje i muszę uszanować wrażliwość studenta. Więc troszkę byłam i nie byłam jej uczennicą. Myślę po latach, że Elżbieta w stosunku do ludzi była zbyt szorstka, sądzę, że brakowało jej generalnie cierpliwości. To była prymarna cecha jej charakteru, trudna do przyjęcia i niejednokrotnie zniechęcająca otoczenie. Dzisiaj te wszystkie trudne sprawy zostawiam zupełnie na boku. Doceniam wartość tego wszystkiego, co w humanistyce zrobiła, jej znakomitego, klarownego pisarstwa. Dojrzałam wreszcie, by Elżbiety dzieło ocenić obiektywnie i uczciwie.

Ali, jesteś tam, powiedz coś o Elżbiecie.

Aleksander Miśkiewicz [A.M.] – Proszę Państwa, słucham wspomnień i ciągle przed oczyma mam te same wspomnienia jako pracownik zaprzyjaźnionego Instytutu Historii. Byliśmy zaprzyjaźnieni, tym bardziej że Profesor Feliksiak przyjeżdżała z Warszawy i nocowała w hotelu asystenckim. Teraz już tylko mieszkania są tam, gdzie była świetlica z kolorowym, rosyjskim telewizorem, do której przychodziliśmy wszyscy na wiadomości. Później rozchodziliśmy się albo rozmawialiśmy. Filmu nie oglądaliśmy. Przyjeżdżali tam historycy: profesorowie Wyczański, Wrzosek, Meller i Brach-Czaina. I były dyskusje. Ci, co chcieli oglądać filmy, byli źli i szli, a tutaj zaczynała się dyskusja. Naprawdę to mile wspominam. Przyznam się, że pierwsze kontakty z Profesorem były trochę... po prostu bałem się jej. Pokazałem jej swój tekst historyczny, no i oczywiście ona mi w nim trochę popodkreślała. Obawiałem się, że może nie powinienem pisać. No, oczywiście Wilno, Wileńszczyzna, przecież Profesor była współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna w Białymstoku, i to jeszcze w 1988 roku. To było spotkanie w Urzędzie Wojewódzkim. Weszła do składu Zarządu. To Towarzystwo istnieje dziś w szczątkowej formie.

Proszę Państwa, takie jeszcze wspomnienie. Otóż odbywały się też spotkania nad Świtezią. Organizował je Związek Polaków na Białorusi, już na Białorusi niepodległej, za prezydenta Szuszkiewicza.

I pojechaliśmy – cała prawie Polonistyka białostocka – na pierwsze takie spotkania. W Nowogrodku była sesja. Ze względu, że to był początek lipca i było bardzo gorąco, więc zawieźli nas nad Świteż. Tam spokojnie patrzyliśmy na jezioro. Drugi dzień to był objazd miejscami Mickiewiczowskimi. Pojechaliśmy do Tuhanowicz. Dużo ludzi nas tam witało. Stoły były nakryte jedzeniem. Okazało się, że był tam kołchoz, który się nazywał Bolszewik. Trudno, ale taka nazwa była. I częstowali nas napojem własnej roboty. Oczywiście wiadomo, o co chodzi, i jedliśmy na zakąskę chleb ze słoniną. Byliśmy zgłodnieli, więc jedliśmy. Natomiast wszystkie czekolady, cukierki, które mieliśmy ze sobą, przekazaliśmy dzieciom. To było bardzo miłe spotkanie. Proszę Państwa, no cóż, jeszcze jedno wspomnienie... Pani Profesor przy każdym takim spotkaniu pytała, ile napisałem już stron habilitacji.

[V.W.-M.] – Pamiętam to nawet.

[A.M.] – I co można było mówić? Po prostu stało się tak, że podczas zbierania materiałów mieszkałem w Gdańsku, Gdyni. Wtenczas dojeżdżałem i zachorowałem, musiałem iść do kliniki. Roczny urlop. Wszystko jakoś się opóźniło. Gdy zacząłem już porządnie zbierać materiały, pisać, przyszedł czas, że powiedzieli mi, że już na emeryturę. Ale to, co miałem napisać, to jeszcze w dalszym ciągu piszę. Zobaczymy...

[V.W.-M.] – Elżbieta to słyszy i zapyta Cię w nocy: Ali piszesz?

[A.M.] – No właśnie. Także Profesor nieraz mnie porugała; jestem Jej wdzięczny za te spotkania. I ta miłość do Wileńszczyzny, chociaż też pochodzę z Kresów. W Wilnie miałem krewnych. Moi rodzice pochodzą z bardzo sympatycznego miasta Słonim. Tam mam jeszcze daleką rodzinę. Dużo zawdzięçam Profesor Feliksiak spojrzeniu na te ziemie. Bo już nie jestem urodzony na Kresach.

[V.W.-M.] – Czy ktoś z Państwa chce zabrać głos? Tak, Aniu, bardzo proszę.

Anna Janicka [A.J.] – Chciałam powiedzieć, że nie byłam uczennicą Pani Profesor Feliksiak. Ale byłam jej studentką i Pani Dyrektor powiedziała tutaj o tym, że myśmy się trochę Profesor Feliksiak bali. Tak rzeczywiście było. Przypominam sobie egzamin zerowy z teorii literatury i tak mnie dziwiło, dlaczego tylko trzy osoby się na ten egzamin zapisały. Ale się zapisałam, no przecież jestem trochę czytana w tekstach. Nie jest tak źle. Kiedy weszłam do pokoju, to już wiedziałam, dlaczego to był tak trudny egzamin. Dlatego, że Pani Profesor nie pytała o poszczególne teksty z osobna. Lecz zadała mi takie pytanie: „Czy widziała Pani kiedyś archetyp, a jeśli Pani widziała, to proszę go opisać”. Coś

tam musiałam powiedzieć z sensem albo i bez sensu. No, nie wiem, jak to było. Zdałam, ale to nie był jeszcze koniec. Potem powiedziała: proszę jeszcze przeczytać nazwisko i tytuł tego francuskiego badacza. No więc przeczytałam. Mówi: „O, Pani zna francuski”. Mówię, że nie, że nie znam. „No, przecież dobrze Pani akcentuje”. I mówię: bo mama mnie trochę nauczyła. No to piątka.

[V.W.-M.] – *Á propos* egzaminu, przypominam sobie taką sytuację: kiedyś egzaminy wstępne na studia były bardzo poważne i dla uczestniczących w nich egzaminatorów była to praca bardzo odpowiedzialna; rekrutacja trwała kilka dni nawet. W komisji egzaminacyjnej pewnego razu była profesor Feliksiak, co zapowiadało katastrofę dla zdających na studia polonistyczne młodych maturzystów. Rzeczywiście – intuicja nas nie zawiodła. Maturzyści – co oczywiste – nie mieli wcześniej żadnego doświadczenia z uczelnią, a już w ogóle nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać po kontakcie z profesorem uniwersyteckim i zakładali generalnie dobrą wolę komisji. Elżbieta, znudzona wielogodzinnym odpytywaniem, zdecydowała się na niestandardowe pytanie: „Proszę mi powiedzieć, co Pani robi, kiedy zobaczy Pani w łazience lwa?” Biedna dziewczyna była w szoku, my zresztą też. Czuliśmy pismo nosem, że sprawa nie zakończy się bez mocnego akcentu, incydent odnotowała regionalna prasa...

[A.J.] – Jeszcze chciałabym jedną rzecz dodać, bo rzeczywiście Pani Profesor była trochę rozkojarzona. Szybka bardzo i rozkojarzona. Ale muszę też powiedzieć, że mimo tego rozkojarzenia okazała się bardzo uważna na człowieka i sama tego doświadczyłam, kiedy zmarła mi najbliższa osoba, czyli moja mama. Wtedy byłam w ciąży, więc to nieszczególna sytuacja. I Pani Profesor, która właściwie mnie nie знаła, po prostu bardzo czule mnie zagadnęła i powiedziała, że jeśli będę chciała porozmawiać, to żebym przede wszystkim do niej przyszła. Byłam bardzo zaskoczona. Nie poszłam na tę rozmowę, ale wtedy bardzo to doceniłam. Teraz wspominam to z wielką czułością.

[V.W.-M.] – Dziękujemy bardzo.

2

[D.S.] – Proszę Państwa odsłuchajmy fragmentu audycji Radia Białystok, tym razem jej bohaterką będzie Pani Profesor Krukowska.

[NAGRANIE: TWARZE ROMANTYZMU, audycja o Profesor Halinie Krukowskiej]³

³ *Twarze romantyzmu*, audycja Doroty Sokołowskiej, Radio Białystok, 30 VII 2019 r.

Prof. Izabela Święcicka [I.Ś.] – Absolutnie nie jestem filologiem, ale bardzo dobrze czuję się w Państwa towarzystwie. Pani Prof. Krukowska powiedziała bardzo ciekawe zdanie: Uczelnia to wspólnota. I chciałam podzielić się moim wspomnieniem. To była ostatnia rozmowa z Prof. Krukowską. Na pewno jedna z ostatnich w ogóle. Pamiętam, że zostałam zaproszona przez Pana Dziekana do udziału w konferencji w Aula Magna pałacu Branickich. To był rok 2018. Końcówka roku. Trwały ogromne dyskusje, jak ma wyglądać struktura uczelni. Pamiętam bardzo dużo rozmów, czy filologia ma być jednym wydziałem, czy może powinny powstać niezależne instytuty. To były piękne rozmowy z Panią Profesor, z Panem Dziekanem, z Panem dr. Karczewskim. Mniej przekonujące, bardziej przekonujące. I zapamiętałam sobie najbardziej jedno słowo, zdanie Profesor Krukowskiej. To nie była prośba, to było powiedziane: „Proszę nie rozbijać środowiska filologicznego”. Jedno zdanie, które dało mi bardzo dużo do myślenia. Oczywiście nie miałam wpływu na to, jak struktura będzie wyglądać, ale dało mi bardzo dużo do myślenia. I od tego momentu stałam się ogromnym orędownikiem tego, żeby Wydział Filologiczny pozostał jedną wspólnotą. Zwróćcie Państwo uwagę, iż to nie była prośba, lecz po prostu stwierdzenie. Pani Profesor wierzyła w tę wspólnotę Wydziału. To było wtedy coś niesamowitego dla mnie jako prorektora.

[V.W.-M.] – Bardzo proszę. Panie Dziekanie, chyba Pan?

Jarosław Ławski [J.Ł.] – Zostałem wywołany do odpowiedzi. Przeszedłem przez szkołę tych trzech postaci, więc długo mógłbym opowiadać. Nawiążę do tego, o czym Pani Prorektor mówiła. Izo, wówczas to były dramatyczne dyskusje. Podjęłaś też dobrą decyzję. Dziś u ministra leży projekt wskrzeszenia filologii polskiej jako dyscypliny naukowej. Myśmy już wtedy przewidywali, że to się prędzej czy później stanie. Filologia narodowa musi być w każdym kraju.

Proszę Państwa, te trzy postacie, które dziś wspominamy, przez wiele lat nadawały ton całemu naszemu środowisku, humanistyce, Wydziałowi. One były bardzo ściśle ze sobą związane. Istniały między nimi niezwykle relacje.

[V.W.M.] – Jak awers i rewers.

[J.Ł.] – Relacja podstawowa to była relacja (mówiąc kolokwialnie) między Felą a Haliną. Była to relacja, którą trudno opisać. Trzeba by użyć filozoficznego terminu: relacja dialektyczna. Panie się przyjaźniły i równocześnie ze sobą rywalizowały. Kiedy Profesor Krukowska napisała książkę o *Marii*

Malczewskiego, to Profesor Feliksiak przystąpiła do pisania swojej książki o *Marii*. Byłem jako młody człowiek świadkiem ich relacji, najczęściej w pokoju profesorskim Haliny Krukowskiej. Były to relacje nie do przewidzenia. Albo trudne, albo idylliczne. Szczególnie zapamiętałem momenty, kiedy Panie wchodziły ze sobą w konflikt o dużym napięciu. Bywało to dosyć często i po tym apogeum konfliktu dochodziło do spotkania, które prawie zawsze kończyło się słowami Pani Profesor Krukowskiej: „Fela, musimy wymienić znak pokoju”. I rzeczywiście, Panie się wtedy ucałowały i od tego momentu wiedziałem, że nastąpi kilka miesięcy spokoju w ich relacjach. Tą trzecią postacią, która krążyła między Profesorem Krukowską i Profesorem Feliksiak, Był Profesor Nowowiejski, który okazał się sprawnym organizatorem, sprawnym zarządcą. Doskonale potrafił porozumieć się z obiema Paniami Profesor.

Jeśli chodzi o to, co powiedziała Pani Profesor Krukowska, że ona chciała od studenta tylko coś usłyszeć na egzaminie, to jest to prawda i „inna” prawda. Tak bym to powiedział. Ja sam na pierwszym podejściu stchórzyłem. Już kiedyś wyznawałem swój grzech, mówiłem, że lekarz dał mi zwolnienie. Po prostu byłem zestresowany, przekonany, że nigdy nie zdam romantyzmu. Lecz pamiętam też dzień, kiedy na egzamin zerowy do Profesor Krukowskiej przyszedł praktycznie cały rok. Weszła jedna osoba i po ponad godzinie ta osoba wyszła z dwóją oczywiście i potem nie było już żadnych amatorów zerowego egzaminu u Pani Profesor Krukowskiej. Dzisiaj oczywiście nas to bawi, ale wtedy były to nasze studenckie dramaty. Potem, jak nauczyła nas Profesor Krukowska, czas to wszystko zromantyzował, przemienił. I dziś mamy wspaniałe wspomnienia. Osobiście bardzo wiele obu Paniom Profesor zawdzięczam. U Profesor Feliksiak uczyłem się organizacji konferencji. Pamiętam, jak wyczekiwałem na gości sesji o Wilnie z Warszawy na dworcu z takim plakatem lub transparentem. Mówiono tutaj dużo o jej trudnym charakterze. Należałem chyba naprawdę do wyjątkowych osób, które ona darzyła jakąś sympatią.

[V.W.-M.] – Ona bardziej darzyła sympatią mężczyzn niż kobiety.

[J.Ł.] – Dlaczego? Na egzaminie z teorii literatury, gdzie poszedłem błąd jak skazaniec pod mur, wszedłem do sali, popatrzyła na mnie i powiada: „O czym Pan chciałby mówić?” Jakaś krótka narracja, którą Pani Profesor już sama rozwinęła, dopowiedziała i spuentowała, wystarczyła, bym dostał absolutnie niezасłużoną piątkę. Natomiast Pani Profesor Krukowska była też wspaniałą szkołą myślenia. Pani Profesor Feliksiak znakomicie, logicznie pisała. To jest to, o czym tu jeszcze nie powiedziano. Miała styl fizyka, tak bym powiedział, styl biologa po ojcach. Natomiast Profesor Krukowska była osobą, której narracje rzeczywiście szły w różnych kierunkach. Nie zawsze można było przewi-

dzieć, zwłaszcza na wykładzie, w którym kierunku ten wykład się rozwinie. Pamiętam wykład, kiedy to zaczęła od Kanta, a skończyła na Mickiewiczu. I też wszyscy byliśmy szczęśliwi, że to w ogóle się odbyło. W moim odczuciu były to wielkie postaci nie tylko białostockiej humanistyki.

[D.S.] – Drodzy Państwo, to ja też podzielę się wspomnieniem z drugiego roku studiów. Nie było to wydarzenie, które bezpośrednio mnie dotyczyło, lecz mojego kolegi, który z racji tego, że Pani Profesor dała nam z romantyzmu obszerną listę lektur do przeczytania, pomyślał, że Panią Profesor przechytrzy i przeczyta tylko *Cierpienia młodego Wertera*. Do tego wypożyczył z Teatru Dramatycznego strój werterowski. Ten charakterystyczny frak z żółtymi guzikami, myśląc, że jeśli Pani Profesor go zobaczy w tym stroju, to będzie rozmawiał oczywiście o tekście Goethego. Kolega wyszedł po 15–20 minutach. Dostał dwójkę i wcale o *Werterze* nie rozmawiano, chociaż strój się bardzo Pani Profesor spodobał. Pani Profesor nie dała się oszukać.

Drugie moje bardzo miłe wspomnienie dotyczy magisterium u Pani Profesor Krukowskiej. Miałem zadanie naukowe, które sam sobie postawiłem, by udowodnić, że Juliusz Słowacki nie był mistykiem, lecz agnastykiem. Pomyślałem, że nie wiem, czy z tą rewolucyjną tezą u Pani Profesor zdołam napisać magisterium. Okazało się, że to była osoba o otwartym umyśle! Uważam, że Pani Profesor była osobą, która nie tylko pozwoliła mi napisać dobrą pracę maderską, ale także stworzyła atmosferę, żebyśmy dyskutowali godzinami. Mówiąc „godzinami”, mówię szczerze i uczciwie. 2–3 godziny na seminarium dyskutowaliśmy. Moja żona pisała w tym samym czasie magisterium u Pani Profesor o Krasieńskim. Śmiejm się twierdzić, że nasze uczucie zadzierzgnęło się dzięki seminarium u Pani Profesor Krukowskiej, bo dwa lata później wzięliśmy ślub.

[V.W.-M.] – No to swoicie zadziałała. *Á propos* egzaminów, pamiętam, kiedy ten egzamin przeprowadzała profesor Krukowska i Zbyszek Suszczyński, a czasem przeprowadzał go sam Zbyszek. Zdarzało się, że Halina musiała gdzieś pojechać, zjeść obiad, musiała zrobić coś w domu i wówczas Zbyszek Suszczyński z litości nad biednymi studentami (niektórzy z nich byli jego przyjaciółmi) przyspieszał tempo egzaminowania, by zdążyć przed powrotem profesor Krukowskiej z Wasilkowa. Natychmiast robiła się do asystenta Haliny kolejka, szczęśliwcy odlatywali na skrzydłach z trójkami do momentu jej powrotu. Wówczas następował zwrot akcji: student stawał przed obliczem Haliny i po godzinie męki wychodził z dwójką. Wchodził, po 15 minutach wychodził z oceną bardzo dobrą. Właściwie nie bardzo było wiadomo, jak się można było do tego egzaminu przygotować. Dlaczego przypominają się w tej chwili takie czasem zabawne, innym razem groźne

epizody z przeszłości? Myślę, że mieliśmy do czynienia z osobami nietuzinkowymi, oryginalnymi. Ale też uniwersytet urządzony był inaczej, jego wewnętrzne funkcjonowanie pozwalało na niestandardowe zachowania. Jako wykładowcy w latach 90. nie pisaliśmy sylabusów, tylko ogólne programy. Ostatnio miałam okazję je prześledzić i muszę przyznać, że więcej w nich było swobody, oddechu badawczo-dydaktycznego, dydaktyki i problematyzowania niż we współczesnych sylabusach. Mieliśmy też czas na dydaktykę i czas na własne pisanie. Każdy z nas był inny i na swój sposób twórczy, czuł się swobodniej niż dzisiaj – co może jest paradoksalne. Teraz wszyscy czujemy się zgłajchszaltowani. Przecież lata 80., a ja wtedy studiowałam, to okres PRL, cenzury, zatem to bezsprzecznie były niewesołe czasy. A na uniwersytecie kwitło życie, zwłaszcza w okresie karnawału Solidarności i później w końcówce lat 80. i na początku 90. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że wchodzimy do innego świata, że będzie wreszcie normalnie. Faktycznie – pierwsze dziesięciolecie było dziesięcioleciem zachłyśnięcia się swobodą, ale od 2005–2006 robiło się na uczelni coraz smutniej. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy było uczucie ruskiej „urawniłowki” badawczo-dydaktycznej, reformy studiów, porozumienia bolońskiego, obligatoryjnego pisania sylabusów, ewaluacji według jednej matrycy. Mam podejrzenie, że Elżbieta Feliksiak nie byłaby w stanie absolutnie zmieścić się w paradygmacie dzisiejszego uniwersytetu. Zresztą, będąc już na emeryturze, zwierzyła mi się: „Boże, ty masz te sylabusy na głowie, a ja jestem od tego wolna. Dopiero teraz będę mogła swobodnie pisać”. I rzeczywiście jest coś na rzeczy, Elżbieta chyba widziała, w jaką stronę zmierza nasza instytucja. A nie zmierza w dobrą stronę.

A kto będzie o nas opowiadał? Czy można opowiadać o naszych sylabusach? Nie sądzę.

Grażyna Dawidowicz [G.D.] – Moja przygoda z polonistyką zaczęła się od egzaminu, jak tutaj było wspomинane, i właśnie egzaminatorką była Pani Profesor Krukowska. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, jaka to jest ważna postać w polonistyce, ale jakaś aura lęku towarzyszyła zdającym. I wszyscy mówili, żeby tylko nie romantyzm, bo jak romantyzm, to już koniec. Patrząc, a tu postacie buntowników i szaleńców w dramatach romantycznych. Myślę, no to już koniec ze mną! Ale odbyliśmy miłą rozmowę i pamiętam, jak rozmawialiśmy o takiej bardzo trudnej do wyznaczenia granicy pomiędzy indywidualizmem a szaleństwem. I dostałam 5. A że uczyłam się w technikum, więc Pani Profesor podsumowała: „Jak nam uczniowie z technikum tak zacząć odpowiadać, to już będzie koniec świata”. I tak oczywiście rzekła przy zdającym. To było pierwsze moje spotkanie. Oczywiście w tamtym czasie postępowałam już inną drogą. Fascynował mnie Gombrowicz. Jakby z innej szkoły byłam niż romantyzm, ale bardzo zawsze serdecznie wspominam spotkania z Panią Profesor, ponieważ miała dar

wyglaszania poglądów bardzo odważnie, a to nie było takie popularne, zwłaszcza w tamtych czasach. Pani Profesor na pewnym wykładzie mówi tak: „Zobaczcie, jakie to jest niesprawiedliwe, ten Lenin, ten bandyta, jaką on ma ulicę w Białymstoku? A Chopin, proszę szukać niedaleko, jaka to jest ulica? Przecież tam kilka domów rozwalających stoi”. I tego typu opinie zawsze były przerywnikiem pomiędzy wzniosłymi poglądami, które rozważaliśmy podczas zajęć. Imponowała mi dwoistość tej natury. Bo z jednej strony była rzeczowa, racjonalna, z krwi i kości, a z drugiej strony po prostu wyniosła, metafizyczna. To była bardzo dziwna natura. I chcę powiedzieć jeszcze, że wielokrotnie nasze drogi się łączyły, rozmawialiśmy, ale ostatni wykład Pani Profesor odbył się właśnie u mnie w szkole. Prześladowałam ją od dłuższego czasu i mówiłam: „Pani Profesor, tak bardzo bym chciała pokazać uczniom liceum, że literatura może być fascynująca, że można tak przeżywać, że oni nie mają takiego przeżycia, wzniosłości, kategorii piękna, o której zawsze Pani Profesor mówiła”. Ciągłe mi obiecywała i ciągle odkładała. I właśnie na wspomniany wykład przybyła do szkoły. Mówi: „Całą noc nie spałam, ale już mi było tak Pani szkoda. Ja ledwo tu przyjechałam”. Niosłam jej różne torby z samochodu do samochodu. Na koniec powiada: „Chciałam jeszcze więcej powiedzieć, ale w szkole, wiadomo, wszystko odbywa się zgodnie z dzwonekami. Tutaj dzwonek przerwał nam tę interesującą opowieść”. Potem rozmawialiśmy sobie w bibliotece i pewnej nauczycielce zdarzyło się coś przykrego, ale pouczającego. Ponieważ ona weszła i zignorowała to, że tutaj siedzi starsza, bardzo ważna osoba. Weszła, usiadła do komputera i tam coś pisze. A my rozmawiamy. Skończyliśmy rozmowę, wypiliśmy herbatę i wychodzimy. Pani Profesor mówi tak: „Do widzenia, dziękuję za miłą herbatę”. Podeszła do tej pani i mówi: „Do pani też mówię do widzenia!”. Tym wspomnieniem chciałam skończyć swoją opowieść.

[V.W.-M.] – Czy Państwo znacie opowieść ze stanu wojennego lub z okresu tuż po stanie wojennym? Halina Krukowska była dzielna, autentycznie! W stanie wojennym przewoziła z Wasilkowa do Białegostoku i w drugą stronę bibułę w bagażniku swojego małego samochodu. Chodzi o drugi obieg. Kiedyś mi powiedziała: „Pani Violu, wie pani co? Na tym moście w Wasilkowie zatrzymali mnie żołnierze. Podchodzi jeden z nich, taki młody chłopak i mówi, żebym otworzyła bagażnik. A ja mu na to: ‘Synu, ty mnie każesz otworzyć bagażnik? Ty mnie, obywatelkę Rzeczypospolitej, prosisz o to, bym otworzyła bagażnik? Czy ja wyglądam na jakiegoś zwykłego przestępcę lub kogoś do niego podobnego? Synu, nie wstyd ci tak tu stać?’ Halina tak go zaskoczyła, że zawstydzony odparł: ‘Dobra, niech już Pani jedzie’”. Halina jeździła samochodem legendarnie, przede wszystkim brawurowo, przewoziła też bibułę, była rzeczywistą opozycjonistką demokratyczną. Była heroiczna i pryncypialna.

Czy ktoś z Państwa jeszcze chciałby zabrać głos?

[K.K.] – Troszeczkę warto wybielić obie Panie Profesor. Dwa ważne egzaminy były na studiach polonistycznych pięcioletnich: romantyzm i teoria literatury. I właściwie po teorii literatury kończyło się studia. I to nie było wcale tak, że wszyscy dostawali dwóję, „tylko” 2/3 osób. Nie było wcale tak, że wszyscy czuli się skrzywdzeni. Mam wrażenie, chociaż nie mogę mówić w imieniu wszystkich, że nawet ci, co dostali dwóję, często wychodzili z przekonaniem, że to jest jedna z tych wielu dwój, które zobowiązują do zrobienia czegoś jeszcze. To nie były dwóje, które skazywały na koniec studiów. Zresztą Jarek potwierdzi, że Profesor Krukowska pisała „recepty”, a i Ty pisałeś te „recepty” czasami. To była taka szansa, że kiedy się dostawało dwóję, to dostawało się też kartkę z zaleceniem przeczytania lektur, z którymi przychodziło się na poprawkę.

Pochwaliłem się tu piątką z plusem, ale to nie było 5 zasłużone. Powiem Państwu, jak to było. Koniec czerwca, 2/3 dwój. Ja stałem na końcu, żeby jak najpóźniej wejść, a może akurat w ogóle nie wejść. Od 10 do 19 Pani Profesor pytała. Ogromny rząd ludzi. Nas wtedy setka była na roku. I to był bardzo gorący dzień. To było nużące, wszyscy byliśmy zmęczeni. Wszedłem wtedy, kiedy rozległy się grzmoty, wiał wicher wielki. Otworło się okno. Metafizyka. I Profesor powiedziała: „No nareszcie!”. A Profesor Elżbieta Feliksiak z kolei była inna na moim egzaminie. Profesor zadała koleżance pytanie szybko, niewyraźnie. Na co Agata zaczęła odpowiadać szybko i niewyraźnie. I Profesor spojrzała na nią z oburzeniem, mówiąc: „Pani do mnie tak?”. Wtedy stanąłem w jej obronie i mówię: „Pani Profesor, ale koleżanka naprawdę tak mówi”. Udało się, ocalała. Ale to były sytuacje, którymi myśmy żyli w jakimś świecie mitotwórczym i to rzeczywiście stało się też częścią życia akademickiego. Mówiliśmy tu, że obie Panie Profesor budziły lęk. Być może, ale to nie jest lęk, który dziś możemy porównać z wywoływaniem bezsensownego strachu. To był strach metafizyczny. On naprawdę był stymulujący. Myśmy wiedzieli, co mamy jeszcze zrobić, czego brakowało. I proces dydaktyczny nie kończył się na egzaminie. To było niebywałe, że człowiek wychodził z egzaminu z wiedzą, czego mu jeszcze brakuje. Taki model dydaktyki dziś już się kończy.

[V.W.-M.] – Przypomina mi się egzamin z literatury niemieckiej u Elżbiety Feliksiak w 1982 lub w 1983 roku. Przyszłam do niej umówiona na popołudnie. Kilka osób już zdawało. Wszłam do pokoju i rozpoczęliśmy rozmowę na różne tematy, wcale niezwiązane z przedmiotem egzaminu; rozmowa trwa 40 minut, i nagle Elżbieta zwraca się do mnie z pytaniem: „Dobrze, dobrze, a po co konkretnie Pani do mnie przyszła?” Mówię, że na egzamin z literatury niemieckiej. A ona: „No tak, no tak..., to zadam jakieś pytanie”. I zaczęła się rozmowa o literaturze niemieckiej, mimo że rozmowa poprzedzająca też miała swój głęboki sens.

[K.K.] – Dominik powiedział bardzo mądrą rzecz o modelu pracy dydaktycznej Prof. Feliksiak. To kiedyś było możliwe, dzisiaj już nie. Na konwersatoria kiedyś mogły chodzić trzy osoby. I u nas tak było, że we trzy osoby żeśmy korzystali z zajęć od 8 do 11 we czwartki. Spotykaliśmy się też na analizie tekstu poetyckiego, kiedy to Profesor zapowiedziała nam analizę wiersza Gottfrieda Benna *Kobieta i mężczyzna idą przez oddział chorych na raka*. Przynieśliśmy ze sobą przeczytane teksty, usiedliśmy. Poprosiła o przeczytanie pierwszej strofy i mówi: „A co wy tutaj macie?! Przecież tego tłumaczenia nie da się czytać”. Wzięła i na gorąco, oczywiście to był jej popis, przetłumaczyła wiersz po swojemu, mówiąc: „Na tym będziemy pracować!”

[V.W.-M.] – Rilkego tłumaczył Mieczysław Jastrun, którego uwielbiam właśnie w takim Jastrunowym wydaniu. Elżbieta na odwrót, nie ceniła tłumaczenia Jastruna, kiedyś powiedziała: „Słuchaj, tłumaczenia Jastruna są beznadziejne, on w ogóle nie zrozumiał, o co Rilkemu chodzi, nie uchwycił istoty rzeczy”. Czytała Rilkego w oryginale i sama go tłumaczyła. Nie wiem, czy te jej tłumaczenia były lepsze, bo ja byłam przywiązana do Jastruna, ale to, co cenne w pracy badawczej i interpretacyjnej Elżbiety – zawsze cytowała z oryginału lub sama dokonywała przekładu. Nigdy nie korzystała z obcych tłumaczeń, zwłaszcza z literatury niemieckiej.

To co, czy teraz muzyczka? Poprosimy.

3.

[D.S.] – Proszę Państwa, teraz zaprezentujemy fragment mojej rozmowy z Profesorem Nowowiejskim. Całość oczywiście została opublikowana w książce. To było niesamowite spotkanie z niesamowitym człowiekiem.

[NAGRANIE: fragment rozmowy z Profesorem Bogusławem Nowowiejskim⁴]

[V.W.-M.] – No, bardzo proszę, może językoznawcy się troszkę uaktywnią dzisiejszego wieczoru? Bo ja też mam swoje wspomnienia, ale może nieco później.

⁴ Fragment wywiadu z prof. Bogusławem Nowowiejskim przeprowadzonego przez Dominika Sołowieja do książki na jubileusz pięćdziesięciolecia środowiska filologicznego w Białymstoku. Zob. B. Nowowiejski, *Nie mamy się czego wstydzić*, w: *Białostockie środowisko filologiczne 1968–2018. Historia w 45 wywiadach*, rozmawiał D. Sołowiej, idea, wstęp i red. J. Ławski, Białystok 2018, s. 294–307.

Dariusz Kulesza [D.K.] –Trochę się wstydzę, więc będę siedział, bo to jest krępujące. Dlaczego? Myślałem o tym wieczorze, o wspomnieniach, które mamy wszyscy, o jakichś drobiazgach, rupieciech rozkosznych. Jedziemy z Panią Profesor Feliksiak do Białowieży małym fiatem Elżbiety Laprus na jakiś konkurs literacki. Wpadamy do rowu, jest zima. Nic się nikomu nie stało. Pani Profesor się śmieje. Przepraszam, ale ona dla mnie była małą dziewczynką. Święta, wielka osoba z naszego polonistycznego punktu widzenia, można tak powiedzieć. Nie chodzi mi tylko o ten jej śmiech, ale także o coś, co można nazwać jej stosunkiem do rzeczywistości. Wypadek, 4 osoby w maluchu, droga do Białowieży, zima. Jesteśmy w rowie. Jakaś taka powszechna radość. Coś się stało, ale jedziemy dalej i rozmawiamy. Pamiętam też, jak Profesor Nowowiejski kupił swój pierwszy europejski samochód. To była skoda. Skoda fabia. I mówi: „Darek, chodź, przejedziesz się chłopie. Miałem takie pragnienie kupić samochód, taki, który mogę nabyć, ale o klasie europejskiej”. I myśmy jeździli wokół tego ronda, które jest przed budynkiem naszego Wydziału, ponieważ znakomity Prof. Nowowiejski swojemu dużo młodszemu, niepoważnemu koledze chciał dać doświadczyć, jak to jest jechać nie dość, że z wyjątkową osobą, to jeszcze samochodem europejskiej klasy. Natomiast jeśli chodzi o samochody i Prof. Krukowską. Pamiętam, Pani Profesor jeździła swego czasu renault clio. Spotkała mnie na korytarzu i mówi: „Darek, słuchaj, ale francuskie samochody są lepsze niż włoskie, prawda?” Ja mówię: „Oczywiście, Pani Profesor, w ogóle włoskie samochody są bez sensu”. Przepraszam, ale uważam, że każdy może uważać, że jego samochód jest najlepszy na świecie i mówię to zupełnie serio. A skoro serio, to ten wątek się już pojawił. Słuchajcie, mnie się wydaje, że my mówimy tu dziś o „ojcach założycielach”. Przepraszam, ale jest taka instytucja, prawda? Tutaj mamy „ojców” obojga płci. Sprawa jest absolutnie serio. Widziałem ten moment, kiedy przedstawaliśmy być „warszawscy”, a zaczynaliśmy być „białostoccy”. Dlatego miałem to szczęście widzieć troszeczkę ów proces, ponieważ pisałem pracę magisterską u Pani Profesor Heleny Karwackiej. Znakomitej profesor z Warszawy, która po prostu była dyrektorem Instytutu. Ona była ostatnią osobą z Warszawy. Przepraszam, jeśli coś pomyłę.

[V.W.-M.] – A właściwie z Łodzi.

[D.K.] – Tak, tak, ale z Łodzi to pochodziła, ale tak to Uniwersytet Warszawski. Wszyscy wiedzieli, że istnieje napięcie pomiędzy Panią Prof. Karwacką a Panią Prof. Krukowską. Częściej mi o tym mówiła Pani Prof. Krukowska niż Pani Prof. Karwacka. Ale to napięcie było. To było coś, co naprawdę istniało. Był moment, kiedy osoby, które z Warszawy wyświadczały nam tę instytucjonalną przysługę, wracały do siebie, a my wybijaliśmy się na niepodległość. I wydaje mi się, że Pani Prof.

Krukowska w tym sensie jest matką założycielką, ponieważ to ona była tą „wolnością wiodącą lud na barykady”. Ona wtedy była pierwszą osobowością na Wydziale Humanistycznym, która była stąd. Była nasza i sprawiała, że nie byliśmy – z całym szacunkiem – „warszawscy”, ale byliśmy tutejsi, lokalni, „białostoccy”, „podlascy”, „wasilkowscy”. Jak zwał, tak zwał. I ona była w swej dyscyplinie pierwsza. Moim zdaniem, Pani Profesor w tej dyscyplinie była liderką. Natomiast Pani Profesor Feliksiak... Jarek wspominał o sesyjnych pobytach na dworcu. Tak, tylko myśmy byli wysyłani. Czy wtedy byłem studentem, czy już może pracownikiem, gdyśmy wychodzili na dworzec PKP w Białymstoku i witali wszystkich uczestników konferencji? To była sesja: Wilno i Wileńszczyzna. Tylko pomóżcie, kiedy to dokładnie było...?

[V.W.-M.] – Pierwsza była w 1989 roku, kolejna 1994 roku, następna w 2000. Jednak najważniejszą i największą – była pierwsza.

[D.K.] – Właśnie, nie pamiętam daty, ale pamiętam mały, czarny notes z odpowiednim napisem, który na Wilno i Wileńszczyznę zwraca uwagę. Coś niesamowitego! Ale o jednej konferencji nie wspomnieliśmy, bo po tej znakomitej serii wileńskiej Pani Profesor podjęła próbę robienia cyklu konferencji o Herbercie. To się nie pociągnęło. Była jedna, wielka, ale to dzięki Pani Profesor przyjechała do Białegostoku Katarzyna Herbertowa, przyjechała Halina Żebrowska, czyli siostra rodzona Zbigniewa Herberta. I to się jakoś tak zaczęło. Taki paradoks, Pani Profesor Krukowska jako „wolność wiodąca lud białostocki na barykady”. Pani Profesor Feliksiak jako pierwsza, która zrobiła coś, co odpowiada temu, co dziś możemy nazwać szumnie strategią naszego uniwersytetu. Powiedziała: tu jesteśmy i pewien obszar jako filolog, literaturoznawcy, jako językoznawcy musimy zagospodarować.

Natomiast Profesor Nowowiejski to był człowiek, który naprawdę rządził. On miał władzę i to była taka władza, która pozwalała mu organizować wszystko jako zastępcy dyrektora. Pani Profesor Karwacka reprezentowała, a tak naprawdę o wszystko dbał na tym etapie przejściowym Profesor Nowowiejski. Potem, kiedy poszedł już „w rektory”, to było inaczej. Krzysiu, uważaj! Ale na początku, Polonistyka w Białymstoku była zdominowana w dużej mierze przez to, jak zawiadywał nią właśnie Profesor Nowowiejski. Więc mówimy tutaj nie tylko o wybitnych osobistościach, o tych, którzy odeszli, o naszych nauczycielach, mistrzach, z którymi byliśmy w różnej relacji. Mnie się wydaje, że mówimy o naszych założycielach. To oni uformowali naszą białostocką polonistykę i jej specyfikę, wyjątkowość, z której możemy korzystać i którą, dzięki Bogu, możemy współtworzyć. To jest najważniejsze, co chciałem powiedzieć.

Beata Kuryłowicz [B.K.] – Dziękuję, Darku. Zgłosiłam się, bo przypomniało mi się zdarzenie, które tutaj doskonale potwierdza Twoje stwierdzenie, że Pan Profesor Nowowiejski „rządził”. Był taką osobą, która rządziła. I to nie tylko w dosłownym znaczeniu, że on rządził, ale też tak był postrzegany. Pamiętam, iż zorganizowaliśmy czwartkowe spotkania naukowe i po tym spotkaniu część osób miała jeszcze dodatkowe zebranie. To nasze posiedzenie naukowe zakończyło się, osoby te przygotowują się do drugiego spotkania i nagle Pan Profesor mówi tak: „Ale ja dziś zostać nie mogę, bo mam coś tam o tej godzinie i muszę już iść”. I spakował się. Taki konkretny. Nie dyskutował. Po prostu „nie mogę”, zabrał swoje rzeczy i poszedł. Pozostałe osoby popatrzyły po sobie i poszły. Spotkanie się nie odbyło. Potem rozmawialiśmy tak sobie z Elą Awramiuk, i ona powiedziała: „Przecież mogliśmy zostać, przedyskutować te sprawy, które miały zostać przedyskutowane i to spotkanie mogło się odbyć”. Zabrakło lidera i wszyscy się rozeszli. I rzeczywiście, Profesor był postrzegany jako człowiek konkretny, zorganizowany, taki trochę z nutą „zimnego drania”. Miał swoje charakterystyczne tylko dla niego odzywki: *one, two, three, sorry Gregory*. I wszyscy to rozumieli. Profesor miał też drugą twarz, której nie ujawniał, a która czasami przy okazji się ukazywała. Pamiętam, że podczas jednej z naszych rozmów zeszliśmy trochę na tematy rodzinne i Profesor do mnie mówi tak: „No wiesz, Beacik, ale ja pod swój dach przyciągałem swoich dwóch bratanków po śmierci swojej bratowej i brata”. On nie musiał, ale wziął pod opiekę dwóch swoich dorastających bratanków. Zajmował się nimi, był bardzo zainteresowany ich losem, utrzymywał ich. Myślę, że w głębi duszy był to dobry i wrażliwy człowiek.

[L.D.] – Moim zdaniem, był po prostu bardzo serdecznym przyjacielem oprócz tego, że kolegą prorektorem. Dogadywaliśmy się znakomicie. Najlepiej poznałam go na wspomnianych dzisiaj konferencjach, wyjazdach do Lublina. Te konferencje organizowała nasza serdeczna przyjaciółka, pani Małgorzata Karwatowska. W czasie wyjazdów jechaliśmy kilka godzin samochodem do Lublina i wtedy Profesor Nowowiejski odkrywał swoje prawdziwe oblicze. Takie ciepłe, to był zwykły człowiek potrzebujący uwagi, potrzebujący jakiejś aprobaty. Na tych wyjazdach go poznałam. A w pracy miał dużo obowiązków. On miał szybki sposób bycia.

[V.W.-M.] – Żołnierski taki...

[L.D.] – Szybko, energicznie, bez wstępów, tak to się odbywało. Naprawdę potrzebował dużo ciepła.

Ludmiła Klimuk [L.K.] – Bardzo chciałam podziękować mojej koleżance Ewie, która mnie tu zaprosiła. To może połączę wszystkie trzy osoby. Panią Feliksiak oczywiście miałam na studiach. Bałam się tej teorii literatury, ale jakoś tak rozmawiałam, że poszło mi dobrze za pierwszym razem. Na jubileuszu byłam u Profesor Feliksiak. Czasami opowiadałam, że zdarzyło się w moim życiu mieć kontakt z dobrymi ludźmi, prawdziwymi naukowcami. U Pani Profesor Krukowskiej też byłam studentką i udało mi się rozmowę, egzamin romantyczny za pierwszym razem złożyć. Kiedy przejeżdżam przez Wasilków, czy to z mężem, czy z dziećmi, to zawsze pokazuję dom i mówię: „zobaczcie, jak wspaniale można połączyć i naukę, i takie czynności, jak to mówią, stolarskie, meblarskie i architektoniczne”. Natomiast Boguś Nowowiejski był moim kolegą z roku. Pochodził z Sokółki. Potem zdarzyło mi się tam mieszkać i pracować. Był nietuzinkowy, np. czytał równocześnie cztery książki i nam się to w głowie nie mieściło: „Boguś, a Tobie się nic nie pomiesza”. Do mnie zwracano się zdrobniale: Ludka. Jak tak rozmawialiśmy blisko, to osobiście lubił używać języka prostego, sokólskiego. Mówił o swoim tacie: „Mój tata to taki matros, a mama moja to jest taka haziątka”. I rzeczywiście, znałam ten dom przy ulicy Wodnej w Sokółce. Zawsze był bardzo zadbany, a też na podwórku kilka razy rozmawiałam z mamą. Potem smutno mi się zrobiło, kiedy się dowiedziałam, że jego brat zmarł. On był znajomym mojego znajomego. Odkryłam, że babcia i mama Bogusia leżą w jednym grobie na cmentarzu w Sokółce. Czasami, gdy tam jestem, to zdarza mi się postawić świeczkę. O dziwo, mam książkę od Pani Profesor Feliksiak, gdzie jestem wymieniona z imienia i nazwiska, i z odręczną piękną dedykacją. Mam kilka książek Profesor Krukowskiej, ale, Bogusiu Kochany, Twojej ani jednej nie mam. Jak to się stało? Dzisiaj się tu odmłodziłam i ozdrowiłam.

[V.W.-M.] – Dziękuję bardzo!

[A.M.] – Proszę Państwa, chciałbym przypomnieć jeszcze jedną rzecz. Otóż Profesor Nowowiejski pozwolił mi (nawet był zadowolony z tego), aby studentów filologii polskiej zawieźć na objazd dydaktyczny. Brałem Trójmiasto, bliskie mi Pomorze i jeździliśmy na 4 dni. Oczywiście trzeba było potem pisać sprawozdanie, rozliczać się w kwesturze z rachunkami. Profesor Nowowiejski zawsze wszystko akceptował. Później, jak Profesor Krukowska była dyrektorem Instytutu, czy Profesor Feliksiak, Elżbieta nieraz mnie pytała, gdzie tych studentów woźę po Trójmieście. Jedną z ciekawych rzeczy mieliśmy w Wejcherowie. To już są typowe Kaszuby. I tam studenci odbywali godzinny kurs języka kaszubskiego. Chciano podkreślić, że to nie żadna gwara, tylko język kaszubski, prawdziwy język. Na dowód pokazano nam *Sonety krymskie* Mickiewicza w języku kaszubskim. To było duże

zaskoczenie. Jeżdżąc z historykami, u których był objazd obowiązkowy, i z polonistami, jaka była może różnica? Różnica była taka, że historycy musieli z tego zdawać egzamin, a poloniści nie. Pokazanie czegoś robiło na nich wielkie wrażenie. Pewna studentka mówiła nawet, że w Gdańsku czuje się zagubiona. Tu ratusz, tu kamienice, to kościół. Jeszcze jedna sprawa. Zawsze byłem pod pomnikiem Stoczniovców i w słynnej Sali BHP. Oczywiście było, że poloniści muszą być w teatrze, więc albo Teatr Wybrzeże w Gdańsku, albo Teatr im. Gombrowicza w Gdyni, ale najchętniej studenci chcieli odwiedzić Teatr Muzyczny w Gdyni im. Baduszkowej. Tam zawsze chodziliśmy. Przeżyliśmy przykry incydent, gdy kupowaliśmy bilety w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, bo okazało się, że pani, która tam sprzedawała bilety w kasie, była absolwentką filologii polskiej w Gdańsku. Więc taka przyszłość humanistów... Ale jakoś to się zawsze ładnie układało. I tak przez 8 lat jeździliśmy do Trójmiasta.

[I.Ś.] – Nie chcę nadużywać Państwa uprzejmości, ale jedną rzecz muszę powiedzieć. Mnie Pan Profesor Nowowiejski zachwyił swą odpowiedzialnością za czasopismo. U państwa na Wydziale jest czasopismo dość dużo, bardzo dobrej jakości. Ale Pan Profesor Nowowiejski niesamowicie dbał o to, żeby jego czasopismo się rozwijało. Nigdy nie zapomnę jednego z pierwszych spotkań redaktorów czasopism. Kto był pierwszy na spotkaniu? Pan Profesor Nowowiejski. Bardzo dobre spotkanie. Tak go pamiętam – jako osobę troszczącą się o czasopismo. Ale pozwolę sobie jeszcze jedno spotkanie przypomnieć. Pamiętam, że coś się stało, ktoś nie zapłacił za recenzję artykułu. Pan Profesor przybiegł do rektoratu. Bardzo miła rozmowa. Pod koniec spotkania zadał mi pytanie: „Czy Pani wie, co nas łączy?” No tak, praca naukowa? „E tam”. Studenci, prorektowanie? „Nie”. To, Panie Profesorze, co nas łączy? „Mitsubishi”. Pamiętam tę miłą rozmowę.

[V.W.-M.] – Dziękujemy! I udajemy się w kierunku stołu, który tak pachnie od popołudnia...